

# Jan Błoński

---

## Miasta

---

Teksty : teoria literatury, krytyka, interpretacja nr 1, 80-89

---

1972

Artykuł został zdigitalizowany i opracowany do udostępnienia w internecie przez Muzeum Historii Polski w ramach prac podejmowanych na rzecz zapewnienia otwartego, powszechnego i trwałego dostępu do polskiego dorobku naukowego i kulturalnego. Artykuł jest umieszczony w kolekcji cyfrowej [bazhum.muzhp.pl](http://bazhum.muzhp.pl), gromadzącej zawartość polskich czasopism humanistycznych i społecznych.

Tekst jest udostępniony do wykorzystania w ramach dozwolonego użytku.

*Jan Błoński*

## **Miasta**

Pierwszą radością podróżnika jest przewodnik i plan. Zanim jeszcze wyruszy w podróż, już podróżuje: przygotowania nigdy nie rozczarowują. Automobilista gromadzi mapy, oblicza trasy, szukając drogi prostej a pojemnej zarazem, oszczędnej ale pożywnej, obfitującej w katedry i krajobrazy. Pasażer kolei toczy cichą walkę z rozkładem: pragnie przechytrzyć tajemnicze znaczki, wynaleźć — wśród omnibusów i torped, pociągów okresowych i nadto kosztownych — zlekceważone połączenie, niespodziewaną możliwość, która pozwoli mu w kilka dni zwiedzić sporo miast czy prowincji. Obaj też pochylają się nad planami miast: wpatrzywszy się, widzą, jak z pociągu wysiada samotny podróżny, jak samochód, zjechawszy z autostrady, grzęźnie powoli w śródmiejskich uliczkach i przystaje wreszcie, wklonowany w wolne jeszcze miejsce postoju. W podróżniku — a zwłaszcza w jego towarzysze — budzi się wtedy niepokój o łożę i stół: gdzie spocznie, co zjem, pytania, których bynajmniej lekceważyć nie można, nie dlatego, aby podróżnikowi groziła śmierć z głodu i wyczerpania, ale dlatego, że właściwa odpowiedź umożliwi odtworzenie do-

Prehistoria  
podróży

mu, umiejscowienie własnego istnienia. Iluż ludzi nie spojrzy nawet na arcydzieło, dopóki nie usmierzy niepokoju bezdomności. Ale plan i przewodnik i w tym niosą pomoc: cóż prostszego, niż wypisać zalecane hotele, oblizać się nad symbolem restauracji, w najgorszym zaś razie — opierając się na doświadczeniu — odnaleźć na mapie miejsce, gdzie zazwyczaj (wokół dworców, zabytków, pryncypalnych ulic) skupiają się instytucje pomocne turyście czy podróżnikowi.

Tak więc, zanim wyruszymy w podróż, już przyswajamy niechętną przestrzeń, poskramiając ją znakami planów. Szukamy tak równowagi między skłonnościami, jakie nie opuszczą nas przez całą drogę: między nostalgią chaosu a pragnieniem porządku. Znak kościoła pozwala roić o niesłychanych architekturach, wygięta nadmorska promenada rozbrzmiewa wesołym gwarem, międzyuliczne pasáže pachną nieznanymi potrawami. Wszystkie jednak upewniają zgodnie, że nigdzie się nie zgubimy i nie rozczarujemy, że czeka nas już nasze miejsce, skoro bowiem umieliśmy trafić tam palcem, potrafimy i w rzeczywistości. Mapa i plan pozwalają bowiem na rojenie, ale oswojone: rozbudzają wyobraźnię, ale bezpiecznie odkreślają nieznaną przestrzeń i uspokajają w obcości. Dlatego wszyscy gromadzą więcej planów i przewodników, niż kiedykolwiek zdołają ze świata obejrzeć. Nic zrozumialszego: człowiek ma przecie prawo do poczucia bezpieczeństwa. Kiedy jednak podróżuje, przypomina dziecko, które wybrało się do lasu, aby zobaczyć nie tyle wilka, ile miejsce wilka... i boi się trochę, że wilk pojawi się naprawdę. Mapa proponuje przygodę pozorną, nieprawdziwą (ponieważ najbardziej fantastyczne miasta i krajobrazy wyobrażenia lepi ze znajomych, spamiętanych składników), ale porządek, o jakim zapewnia, nie jest bynajmniej fikcyjny: trudno wątpić, że przestrzeń naszej podróży została uładzona tak właśnie, jak twierdzi mapa i przewodnik. Ten porządek zaś jest społecznie sprawdzony i tym samym każdemu dostępny.

Oswajanie  
nieznanej  
przestrzeni

Kogóż  
nie zmylił  
przewodnik?

Ale kogóż nie zmylił i nie oszukał przewodnik. Przed dworcem rozpościera się niezrozumiały plac, autobus umyka w ciemność, zgwałcony nakazem jednego kierunku ruchu, autostrada pędzi wiaduktem nad miastem i nie ma mowy, aby odnaleźć rozjazd, który zaprowadzi w przewidzianą okolicę. Zresztą do starożytności miasta nie ma w ogóle wjazdu, samochód zaś należy zostawić u podnóża zamku, do którego wjeżdża się ogromną windą, dobrze ukrytą w skalistym wnętrzu góry. Piechur daremnie liczy przecznice, plan pominął bowiem małe uliczki, które teraz wyrastają jak dziury w serze; słynne monumenty rozmazują się między banalnymi kamienicami. Im mniej plan dokładny, tym łatwiej się nim posługiwać, ale też — oczywiście — niewiele mówi o otaczającym mieście; im ściślejszy, tym mniej poręczny i użyteczny, skupia bowiem za wiele trudu na procesie dekodowania znaków. Turyści gubią się równie często w miastach, co w planach.

Czytanie  
miasta

Jakie więc wybrać rozwiązanie? Można oczywiście cisnąć przewodnik w kąt, błąkać się przypadkowymi ulicami, przesiadywać popołudnia na tarasach kawiarń: słowem, poddać się chaosowi świata. Z iluż jednak miast wyjeżdżamy z wrażeniem, że w nich nie byliśmy. Istotnie, czytając nieznaną miasto, posługujemy się gramatyką (estetyczną, historyczną, ekonomiczną), której się uprzednio nauczyliśmy: ostatnim z pedagogów jest oczywiście plan i przewodnik, którego musimy — choćby niechętnie — słuchać pod groźbą zagubienia, wygłodzenia oraz nierozumienia niczego. Gdybyśmy nie słuchali żadnej turystycznej gramatyki, byłibyśmy tylko smętnymi włóczęgami, objającymi własną nudę po zagranicznych brukach. Upór naiwnego turysty budzi jednak uśmiech: zanim zachwyci się pięknym obrazem, musi sprawdzić w przewodniku, że znajduje się on na swoim miejscu, trzecim na prawo od wejścia; nie dostrzeżę romańskiego kościoła, ponieważ zapomniał zorientować plan i spodziewa się piękna *en face*, podczas gdy ono milczy wymownie za plecami stro-

skanego gościa. Zwłaszcza poważni, stateczni przekładają radość identyfikacji nad kontemplacyjne rozkosze. Łatwo śmiać się z ludzi, którzy musieli przyjechać do Rzymu, aby przeczytać odnośny bedeker. Czy jednak rozpoznanie nie jest warunkiem zrozumienia? I cóż to za pyszałek ośmiela się mniemać, że dostrzeże nienazwane arcydzieło? Podróż bez nauki jest takim samym mitem jak matematyka bez bólu.

Tak więc świat pokonuje plan; ale plan przyswaja świat. W umyśle zostaje to, co uporządkowane, chociaż zarazem zostaje bardzo niewiele. Czyżby zatem swobodna podróż była urojeniem? Czyżbyśmy byli tylko niewolnikami — chaosu świata lub pedagogicznego porządku? I tyle tylko zyskiwali z podróży, ileśmy umieli wcisnąć w szablony, w jakie wpisujemy doznania? Gdyby tak było, można by — parafrazując powiedzenie, że nie tyle myślimy, ile jesteśmy myślani — powiedzieć, że nie my zwiedzamy, ale jesteśmy zwiedzani i że naszymi oczami patrzy na miasta plan i przewodnik — kulturalny stereotyp podróży.

Siena i Wenecja należą na pewno do miast najmniej czytelnych i najbardziej zawikłanych. Ale dopiero w terenie, na miejscu. Plan Sieny nie różni się szczególnie od planu przeciętnego włoskiego miasta. Pozbawiony poziomic, nie zapowiada żadnych w ogóle niespodzianek. Miasto rozwija się w koślawe i nieco przekrzywione Y: Banchi di Sopra rozwidła się w via della Città, którą można dotrzeć do katedry, oraz w Banchi di Sotto, prowadzącą do uniwersytetu i — znacznie dalej — do kościoła Servi di Maria, skąd roztacza się ładny widok na okolicę. Główny plac — słynne il Campo — rozkłada się mniej więcej u początku rozwidlenia. Po obu stronach miejskiego kręgosłupa, jaki stanowi to Y, znajdują się zaledwie dwie czy trzy ulice, mniej lub bardziej równoległe; natomiast od piazza Mateotti, zapoczątkowującej śródmieście, aż do katedry z jednej, uniwersytetu z drugiej strony, nie ma więcej aniżeli sześćset met-

Chaos świata  
i pedagogiczny  
porządek planu

Kształty miast:  
Siena  
i Wenecja

rów. Słowem, opanowanie i przyswojenie sienneńskiej przestrzeni nie zdaje się żądać szczególnego wysiłku... Wenecja jest naturalnie większa: od stacji i parkingu do ogrodów publicznych ptak przelecieć musi przeszło półtora kilometra. Dość jednak rzucić okiem na mapę, aby uchwycić rozkład miasta: wielkie S — Canale Grande — dzieli Wenecję na dwie nierówne części, pocięte węższymi kanałami na czytelne choć nieregularne prostokąty. Tak więc wcale nie trudno narysować Wenecję z pamięci, zaznaczając co ważniejsze kościoły, pałace i monumenty. Ale w niczym się to nikomu przydać nie może.

Porządek  
doskonale  
nieużyteczny

Porządek Wenecji jest bowiem doskonale nieużyteczny: plan uwidacznia logikę szlaków wodnych, które całkowicie straciły na znaczeniu. Lądowe *calle*, którymi — chcąc nie chcąc — musimy się dziś poruszać, zostały wytyczone całkiem przypadkowo... przypadkowo dla piechura: rozrzucano je bowiem z myślą o przystaniach. Co czwarta przynajmniej uliczka kończy się ślepo; ale i to niepewne, jedne bowiem przenikają przejściami kamienice, inne nie; te przejścia zaś prowadzą bądź na ulice, bądź na kanały. Każdy dom, każde niemalże mieszkanie ma osobny system komunikacyjny, lądowy i wodny; nieobecność zaś pojazdów i pomniejszenie proporcji, właściwe ciągom pieszym, niepomniecznie wzmagają zawikłanie przestrzeni, o którym żaden plan ani przewodnik nie mogą oczywiście dać najmniejszego pojęcia. Co kilka kroków — załamanie, zmiana kierunku, przecznica, zaułek, brama, przejście, przystań. Ale po cóż mówić o powszechnie znanym.

Efekt labiryntu, wywołany w Wenecji niepokojącym sąsiedztwem żywiołów, rodzi się w Sienie z osobliwego małżeństwa „chwiejnych prostych” z różnicami poziomów. Zbudowane na wzgórzach miasto wygina się wzdłuż niewielkiego wodnego działu, rozczapierzając się w rozmaite strony. Przekreśla tak wszystkie stosunki przestrzenne, do jakich przywykł przybysz z krajów płaskich i osiedli rozsądnie rozwałkowanych na równinach. Linie pozornie proste

(jak choćby Banchi di Sopra) składają się naprawdę z rozkolebanych odcinków elips. Linie pozornie równoległe (ulic, dachów) biegną niżej lub wyżej od siebie mniej więcej na połowie wysokości domów. Linie wgłębne urywają się lub, przeciwnie, wydłużają zależnie od głębokości kotlinek, nad którymi wznosi się miasto. Zapewne, różnice wzniesień nie są wielkie, sięgają najwyżej pięćdziesięciu metrów: zważmy jednak, że całe śródmieście ma najwyżej trzysta pięćdziesiąt poprzecznie, sześćset wzdłużnie. Tym samym wszelkie miary, zdejmowane z miasta, mylą zawsze, łudzą czy wręcz kłamią. Podróżny nie rozróżnia bowiem metrycznej odległości od wysiłku spowodowanego wspinaniem, traci poczucie prostej, kiedy ulice zataczają się jak podchmielone, budynki zaś o różnej (lecz na ogół znacznej) wysokości zbliżają się i oddalają, pojawiają z lewej czy prawej zależnie od przypadkowego spojrzenia. A dodać by jeszcze należało zdradne skróty, skryte pasáže, pochyłość placów i wreszcie strach przed samochodami, nie całkiem jeszcze wyrugowanymi z miasta, którego żadna ulica nie przekracza pięciu czy sześciu metrów szerokości.

Efekt  
labiryntu

Sienę i Wenecję zwiedzałem bardzo starannie i z nawną systematycznością, zbrojny w najlepszy przewodnik i wzorową cierpliwość. Tym bardziej zdumiały mnie orientacyjne porażki, których właściwie nigdzie indziej nie zaznałem. W Sienie nie umiałem trafić do hotelu: musiałem powtarzać całą drogę, którą przemierzyłem, aby rozpoznać uliczkę, przy której się znajdował. Za trzecią jeszcze bytnością zdarzało mi się szukać daleko domu, który stał niemal na przeciwko, zataczać ogromne łuki, aby trafić do katedry, ewidentnie górującej nad miastem, złościć się, że nie mogę odnaleźć sklepu, który pamięć umiejscowiła w najbliższym sąsiedztwie. Podobnie zabawne były w Wenecji trudności z Colleoni: nie umiałem mianowicie dotrzeć do kościoła św. Jana i Pawła, przed którym czuwa posąg kondotiera. Mieszkałem zaś właściwie niedaleko, bo koło San

Błądzenie  
pozornie  
niepojęte

Moise. Zbaczalem z drogi, szukając malowniczych przejść, podglądając zajęcia tubylców albo snując prywatne rojenia o opuszczonych pałacach. Tak tra-cilem kierunek i odnajdywałem się bądź to bardziej na zachód, koło świątyni św. Zachariasza i św. Franciszka, bądź bardziej na wschód, gubiąc w niecieka-wych uliczkach dzielnicy, jaką rozpościera się za rio Santi Apostoli. Częściej jednak, niesiony tłumem, odkrywałem ze śmiechem, że zawędrowałem po pro-stu do Rialta. I jeśli w końcu obejrzałem św. Jana i Pawła, to doprowadzony tam przypadkiem innego spaceru: Colleonego — rozgniewany — nie spamię-tałem nawet.

Jest jasne, że przysiadłszy fałdów można łatwo po-konać topograficzną zawilóść Sieny czy Wenecji: nikt tam jeszcze nie zginął, zabłąkany. Jeśli nie u-miałem trafić do Colleonego, to po prostu dlatego, że naprawdę — nie chciałem. Podobnie w Sienie prag-nałem zgubić się między katedrą, pochyłym Il Cam-po a percią Banchi di Sopra, a więc w przestrzeni tak humorystycznie skąpej, że tylko wielkie nasile-nie podświadomego pragnienia mogło zmylić oko i wyłączyć zmysł orientacji. Tak oto dotarłem do tej oczywistości, że — podróżując — nie tylko pragnie-my poznać, ale także zapomnieć, nie tylko odna-leźć, ale również zgubić. Doceniamy plan, jesteśmy mu wdzięczni za porządek, którym składa i ocala wrażenia, ale zarazem chcemy stracić się wśród nad-miaru i chaosu, zakosztować podejrzanych rozkoszy labiryntu. Miasta prawdziwie piękne obnażają się i zasłaniają jednocześnie. Dokładniej: ogarniają swoim ładem człowieka, który się z nimi — przynajmniej częściowo — utożsamia; ale „ogarniać” znaczy także przewyższać, nie pozwolić się całkiem rozszyfro-wać, jak nie pozwala obraz czy poemat. Jeśli współ-czesna urbanistyka jest tak haniebnym społecznie niepowodzeniem, to dlatego także, że buduje miasta czytelne szybko, całkowicie i zgoła jednoznacznie. Czy można jednak zadowolić się takim wyjaśnie-niem? Powstaje przecie pytanie, dlaczego i jak się

Dialektyka  
ładu  
i splątania



myliłem: odchyleniami od programu musiały kierować określone pragnienia. Otóż skoro tylko zrozumiałem, że zgubiłem się dlatego, że chciałem się zgubić, uchwyciłem także urojenie, które płątało szyki przewodnikowi. Było to mianowicie przekonanie, które nie wiem jak powstało, ale chyba już mnie nie opuści: że Siena jest miastem okrutnym i ponurym, twardym, surowym i zaciekłym w swej obojętnej człowiekowi piękności; przekonanie — nawiasem mówiąc — zupełnie niezgodne z łagodnością i delikatnością sieneńskiego malarstwa. Architektura sieneńska spełniała we mnie plastycznie jakąś ideę wzniosłości: fascynacja pionem, gęstością zabudowy, ogromnymi ceglanyymi murami łączyła się — nie zawsze zrozumiale — z subtelnością i płynnością stosunków przestrzennych, z zawikłaniem nadrzędnej hierarchii, symbolizowanej przez miasto. Spacerując tedy po Sienie, stale schodziłem w dół, aby — wspinając się z powrotem — ukorzyć się przed wyniosłością; stale zataczałem koła, aby — to samo oglądając inaczej — wielbić niepoznawalność dostojenstwa. Tak Siena oficjalna ustąpiła przed urojoną: udając bowiem, że słucham przewodnika, wybierałem naprawdę miejsca, które zadawały wewnętrzne marzenie. Czy wewnętrzne tylko? Może nie tylko dla mnie taka Siena istnieje.

Podobnie z Wenecją. Pociągało mnie nie tylko zmieszanie żywiołów; raczej — przygodność piękna i bezużyteczność malowniczości, spowodowane zatraceniem ekonomicznej funkcji miasta. Przekładałem więc zaułek nad ulicę, oficyny nad fasady, zgniliznę nad słońce i wodę nad ład: biadałem, że nigdy nie będę mieć dosyć pieniędzy, aby zwiedzić miasto łodzią, marzyłem o niepogodzie, kiedy świeciło słońce, śniłem zarazę i ucieczkę mieszkańców. Słowem, pragnąłem, aby Wenecja stała się bardziej jeszcze zniszczona, konająca, absurda i nierzeczywista, niż jest. Marzenie mało oryginalne, zapewne, ale przecie uprawnione. Tak więc i tutaj — nie chcąc trafić do zwycięskiego Colleonego — kierowałem swe kro-

Miasto urojone

Prywatne  
fantasmagorie

ki tam, gdzie mogłem spodziewać się lepszego pokarmu dla prywatnej fantasmagorii. Jednak nie było w tym nic z premedytacji. Wenecję wyobrażałem sobie zupełnie inaczej — zresztą Wenecja jest nie do wyobrażenia. Dopiero stopniowo, w zetknięciu z miastem, kształtowało się takie właśnie odczytanie urbanistycznego tekstu.

Własna mapa,  
własny  
przewodnik

Można więc chyba powiedzieć, że i w Sienie, i w Wenecji kleciłem powoli własną mapę i własny przewodnik, jak gdybym chaosowi miasta, który w oka mgnieniu pokonał ubogi (choć sprawdzalny) porządek planu, pragnął nadać ład własny. Miałem przed oczami mało zrozumiały tekst: kluczem, którym chciałem go rozłamać, był oczywiście przewodnik. Ceniłem go więc i szanowałem. Zarazem jednak — nieświadomie czy półświadomie — pracowałem nad tym, aby zastąpić go przez inny, trafniejszy, przynajmniej w moim rozumieniu. Odczytaniu miasta nie mogłem naturalnie nadać żadnej obiektywności, moje dzieło musiało pozostać poronione: a jednak istniało, będąc po prostu odchyleniem od marszruty, celową pomyłką, szczęśliwą winą, dzięki której miasto nabierało znaczenia i porządkowało zarazem swe składniki i moje uczucia.

Przełamanie  
konwencji map  
oficjalnych

Czy więc zgrzeszę śmiałością, powiadając, że i ja narysowałem sobie plan miasta, pół zatarty, oczywiście, niełatwy też do przekazania (bo nie jestem malarzem ani poetą), ale wielce rzeczywisty, ponieważ służył także za drugą i trzecią podróżą, kiedy szybko i łatwo trafiałem w upragnione miejsca? I że naprawdę ja zwiedzałem miasto, a nie tylko ono samo „się” przeze mnie zwiedzało? Miasto było chaosem; mapa i przewodnik — lekturą społecznie sprawdzoną; moje odchylenia — jednostkowym odczytaniem, dokonanym dzięki przewodnikowi, ale wbrew niemu. Albo inaczej, bardziej literacko: miasto było materiałem, przewodnik — konwencją, moje dziwactwa — moim dziełem, naśladowującym i przekraczającym konwencję. Zapewne, można powiedzieć, że moje odczytanie było jakoś zaprogram-

mowane przez kulturę, w jakiej się wychowałem. Ale takich lektur może być tyle, ile ludzi, a więc nieskończoność; czy zaś można zaprogramować nieskończoność? Upieram się więc przy zwycięstwie podróżnika nad mapą, turysty nad przewodnikiem, jednostki nad konwencją czy systemem. Jak pisał Miciński, „mojej wolności dowodem błąd”.

Rzecz w tym, że przestrzeń nie jest — jak podsuwa mapa czy przewodnik — neutralnym środowiskiem, w którym lbytują znaki. Przestrzeń nie tylko spowija znaki, ale sama jest znakiem; na co literatura nie przestaje przynosić dowodów. Przestrzeń *Odysei* jest topografią mitu. Kosmos *Boskiej Komedii* jest odwzorowaniem porządku myślenia, przestrzenią scholastyki, co poznać już wtedy, kiedy strefom nieba przypisuje Dante poszczególne sztuki wyzwolone, niebo księżycy mianując niebem gramatyki, niebo Merkurego — dialektyki i tak dalej, aż do *Primum Mobile* metafizyki i *Empireum* światłości Bożej. Geografia Swifta — pamiętajmy, że Brobdingnag i Laputa zostały bardzo ściśle umiejscowione na mapie! — jest kupiecka, owszem, ale bardziej jeszcze purytańska i obsesyjna. Świat Prousta zaś dzieli się zawsze na stronę Swanna i stronę Guermantes, odzyskując jedność dopiero wtedy, kiedy rozdarcie bohatera ustępuje wewnętrznej zgodności i harmonii idealnego narratora. Tak więc „świat znaków i obrazów przez nas stworzonych — jak powiada Cassirer — przeciwstawia się temu, co nazywamy obiektywną rzeczywistością rzeczy i utrzymuje się w niej w niezależnej pełni i z pierwotną mocą”, przynajmniej wtedy, kiedy — przeciwnie niż w moim wypadku! — potrafi zapisać się i wcielić inaczej niż w niejasne wspomnienie.

Przestrzeń  
jako znak